„Delta czasu” – pamięć o powojennej historii Polski w zapiskach, wspomnieniach i wierszach Floriana Śmieji



Florian Śmieja w mundurku gimnazjalnym z młodszymi braćmi Alojzym (po lewej) i Jerzym (po prawej stronie) oraz kolegami. Kończyce, 17 sierpnia 1938 roku.

Aleksander Trojanowski *(Wrocław)*

W Bibliotece Śląskiej ukazała się w ubiegłym roku książka *Delta czasu* autorstwa Floriana Śmieji, wybitnego polskiego iberysty, tłumacza i poety, zamieszkującego w Mississauga (Kanada). Książka zbiera notatki i zapisy o charakterze wspomnieniowym, ukazując jej autora jako tłumacza w najszerszym sensie tego słowa – mediującego na co dzień między kulturą polską, kanadyjską, brytyjską, hiszpańską czy szerzej – między różnymi

kulturami Zachodu. Zachęcając czytelników, by sięgnęli do tekstów autora, spróbuję pokrótce wskazać tu jej główne wątki.

> Poeta angielski napisał, że żaden człowiek nie jest wyspą, że nie służy mu zasklepianie się w sobie. Może więc raczej przypomina konfluencję delty, wody w ruchu, mieszającej flukty w gromadzących się dopływach, aglomerat niesionych osadów, zalew, dorzecze, labirynt tętniący ruchem i życiem, penetracją, nieustannym sączeniem i podmywaniem lądu[1].

W ten znaczący sposób Florian Śmieja rozpoczyna swoją książkę. Znaczący, bowiem sens, którym uzupełnia słynną frazę Johna Donne'a wyraża jej ideę przewodnią. Człowiek, jak się wydaje, to jego historia – zarówno ta „mała historia", którą o sobie opowiada, jak i „wielka" historia, która kształtuje jego życiorys, ale którą też po części sam stwarza. Pamięć minionych wydarzeń okazuje się przede wszystkim „labiryntem tętniącym ruchem i życiem" – zapisem spotkań z innymi ludźmi. Jest to z pewnością niezwykle wartościowy rys wspomnień Floriana Śmieji – pamięć indywidualna okazuje się zarazem pamięcią wspólną, a osobiste zapiski autora ocalają pamięć nie tylko o jednej, ale o wielu biografiach. Portret emigracji wojennej – ale przecież nie tylko, bo ukazane zostały także postaci, z którymi autor zetknął się jako człowiek nauki, poeta i tłumacz – nakreślony jest z czułością, ale i koniczną dozą krytycyzmu, które bezsprzecznie nadają książce

walor dokumentu pewnej epoki.

Wspomnieniom Floriana Śmieji towarzyszy zarazem – z racji samej natury poruszanej w niej materii – atmosfera pewnego kresu. Jak pisze sam autor, „jesteśmy świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej”[2]. Jest to więc zatem próba opowiedzenia jej historii z perspektywy świadka, czy raczej, jak należało by powiedzieć – uczestnika zdarzeń, a więc opowieść z pierwszej ręki. Proponuję, byśmy dla potrzeb tego krótkiego omówienia przyjęli punkt widzenia czytelnika, który nie wie – nie wie, kim są sportretowane w książce postaci, nie zna kontekstu opisywanych wydarzeń, ani ich znaczenia. Jest to bowiem czytelnik, który będzie przyszłym odbiorcą tej książki. Czego się z niej dowie?

Wypada zacząć od tego, jak sam autor określa cel swojej książki:

> Moje wspomnienia i noty mają za zadanie przybliżyć niektóre zachowania i wypowiedzi znane mi osobiście i do nich starałem się ja zasadniczo ograniczyć, nie kusząc się o opracowanie wszechstronnych monografii. Te okruchy i fragmenty doświadczeń z autopsji, z pierwszej ręki, cytaty korespondencji, pragnę dorzucić do wiarygodnych przekazów i źródeł wiedzy o najnowszych dziejach Polski, w tym wypadku o emigracji niepodległościowej na Zachodzie, z

> których będą mogli czerpać przyszli badacze, historycy i krytycy.[3]

Dostajemy więc do ręki dokument, mający za zadanie zachować wiarygodne informacje o życiu powojennej emigracji na Zachodzie. W dużej mierze przybiera on formę swoistego leksykonu postaci, z którymi zetknął się z różnych powodów autor. Leksykonu, w którym swoje miejsce znajdują zarówno pierwszoplanowi protagoniści powojennej kultury – jak Jerzy Giedroyć, Czesław Miłosz, czy Leopold Tyrmand (by wymienić tylko kilka obecnych na stronach *Delty czasu* postaci), ale również animatorzy i uczestnicy życia kulturalnego Polonii w Anglii i Kanadzie i – co oczywiste – przyjaciele i najbliżsi.

Warto przy tym zaznaczyć, że osobisty wymiar zapisków Floriana Śmieji nie sprowadza się tylko do tego, że wśród opisywanych wydarzeń pojawiają się również bardziej prywatne wspomnienia. Polega on raczej na tym, że jako czytelnicy mamy okazję przyjrzeć się faktom z perspektywy autora. I ta obecność autora w tekście jest niewątpliwie wartością dodaną całej książki, co ujawnia się przykładowo we fragmencie, w którym autor krytykuje wydaną w 1965 roku antologię grupy poetyckiej „Kontynenty", do której sam należał. Gdy Śmieja zarzuca redaktorowi tomu, Andrzejowi Lamowi, manipulację, mamy okazję jak w soczewce zobaczyć, jak aktualna jest stawka, o

którą toczy się gra w tego rodzaju pisarstwie historycznym. Choć bowiem czytamy o wydarzeniach ze stosunkowo odległej przeszłości, to widać, jak względną i wrażliwą kwestią jest prawda i jak szczególnie cenną wartością są z tego względu relacje świadków i uczestników wydarzeń.

W szerszym kontekście zebrane w książce notatki, pisane z perspektywy emigranta i poety, który znajduje się niejako pomiędzy kulturą polską a kulturą swojego nowego miejsca zamieszkania, są swoistym przyczynkiem do problematyzacji polskości. Z jednej strony stanowią one przypomnienie, że najnowsza historia Polski nie toczyła się tylko w powojennej Polsce, a więc – innymi słowy – że jest ona nie do pomyślenia bez historii polskiej emigracji. Z drugiej zaś strony, emigracyjne losy ludzi polskiej kultury, a w szczególności poetów, ukazują uniwersalny wymiar ich doświadczenia. Wszak dylematy, przed którymi stawali bohaterowie wspomnień Śmieji, jak np. kwestia języka – czy trzymać się języka polskiego i skazywać na pisarstwo bez publiczności, czy porzucić polszczyznę i pisać w nowym języku – czy choćby dotyczący szczególnie poetów problem tematu – czy mieszkający w Kanadzie poeta powinien stworzyć w polszczyźnie własny obraz Kanady, czy raczej utrwalać obrazy polskiej przeszłości – to dylematy wspólne wszystkim ludziom kultury, których XX wiek skazał na doświadczenie wychodźstwa.

Wspomnienia Floriana Śmieji, w których, jak się rzekło, odbija się co rusz doświadczenie zamieszkiwania między różnymi kulturami, kontakt z przedstawicielami innych kultur oraz nieustająca konieczność przekładu, pozwoli czytelnikowi spojrzeć dokładniej na sens działalności tłumaczeniowej i naukowej autora. Wspomnienia Floriana Śmieji unaoczniają bowiem, że widoczna na pierwszy rzut oka strona tej działalności jest w pewnym sensie drugorzędna. Tymczasem w swojej istocie, zarówno nauka, jak i przekład umożliwiają spotkanie i wzajemne porozumienie międzyludzkie. Niech ilustracją tego twierdzenia będzie opisana w książce historia przeszczepienia myśli brytyjskiej szkoły calderonistów – specjalistów zajmujących się twórczością hiszpańskiego dramatopisarza Calderona de la Barki – na grunt polski, w którym „maczał palce" profesor Śmieja. Historia ta zaczyna się po wojnie, gdy autor jest uczniem wybitnych brytyjskich calderonistów – Alexandra A. Parkera i Edwarda M. Wilsona. Do zajęcia się Calderonem zainspiruje on następnie napotkaną w Madrycie młodą hispanistkę z Polski, Beatę Baczyńską. Stanie się ona z czasem wybitną specjalistką w tej materii, czego symbolem może być kongres calderonistów, zorganizowany przez nią na Uniwersytecie Wrocławskim w 2008 roku. Widać tu jak na dłoni, że nauka, tłumaczenie, szerzej – zajmowanie się kulturą, to w istocie szereg spotkań, wzajemnych inspiracji i wspólnego działania ponad kulturowymi, czy politycznymi podziałami.



Doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Florian Śmieja wraz z JM Rektorem prof. Markiem Bojarskim i promotorem doktoratu honorowego prof. Beatą Baczyńską. Wrocław, 2015 rok.

Wypada wspomnieć również o poetyckiej działalności Floriana Śmieji, jego wspomnienia pokazują bowiem, w jaki sposób twórczość związana jest z życiem, będąc tak naprawdę częścią tego samego procesu:

> Budząc się o świcie, staram się z otwierającej się świadomości wyłuskać oryginalny pomysł, jego zawiązek i wyartykułować jego początek. Powtarzam go i dobieram właściwie słowa, aż upewnię się, że posiadam myśl wartą zachowania. Czasem zdarza się, że równocześnie świta drugi pomysł. Próbuję go również ułowić i wtedy wstaję do

> komputera i usiłuję oba wątki zapisać, by utrwalone stały się budulcem wierszyków. Z tych esencji, czytając je wielokrotnie, szykuję wersję ostateczną, dodając i przetwarzając materiał[4].

Esencji takich, poetycko przetworzonych wspomnień, na kartach książki nie brakuje.

Esencjonalność jest zarazem ogólnym rysem tej książki. Na koniec pozostaje bowiem zdumienie, że tak wiele historii, osób, problemów zmieściło się na przestrzeni niecałych dwustu stron. Zapiski Floriana Śmieji są w tym sensie także lekcją pokory i przypomnieniem o tym, jak ulotna i wybiórcza jest pamięć. Czas, który obszerna monografia zredukowałaby może do paru wyrazistych postaci i kliku kluczowych faktów, rozrasta się tu i – co najważniejsze – zaludnia szeregiem barwnych i ciekawych postaci. Warto o nich czytać, żeby nie zapominać i żeby poznawać historie takie jak przytoczona w książce historia ludności pewnej śląskiej wsi, która w całości wyemigrowała do USA pod przewodem księdza Leopolda Moczygęby, zabierając ze sobą ziarno siewne, pług, krzyż i dzwon kościelny, by w 1854 roku założyć w Teksasie miejscowość Panna Maria. Takich nieoczywistych a znaczących historii znajdzie czytelnik w *Delcie czasu* więcej.

Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018.



---

[1] Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018, s. 9.

[2] *Ibidem*, s. 7.

[3] *Ibidem*, s. 8.

[4] *Ibidem,* s. 9-10.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych



Od lewej: Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Witold Modrzejewski.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem" Barbary Gruszki-Zych, to pierwsza książka pokazująca dotąd mało znane życie prywatne Krzysztofa Zanussiego i jego żony Elżbiety. Tę sferę wybitny reżyser przez lata otaczał dyskrecją. Jego legendarna powściągliwość i arystokratyczny dystans sprawiają, że jest osobowością nie dającą się zamknąć w żadnym schemacie. Książka Gruszki-Zych pozwala jednak dotknąć tajemnicy Zanussiego, którą w dużym stopniu pomaga odkryć jego żona Elżbieta. Oboje są artystami, ale o malarstwie Elżbiety, wywodzącej się z arystokratycznej rodziny Grocholskich i Czetwertyńskich, jest mniej głośno. Dała mężowi pierwszeństwo, uznając, że to on ma większy talent i możliwości oddziaływania,

bo jego dzieła filmowe mogą „dotknąć czyjejś duszy” bardziej niż jej obrazy. Rzeczywiście, bez jego filmów, takich jak „Imperatyw”, „Barwy ochronne”, „Cwał”, „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” nie można sobie wyobrazić polskiego ani europejskiego kina. Znakomity reżyser jeszcze nigdy nie dopuścił w rozmowie tak blisko nikogo ze swoich rozmówców. Na skrócenie dystansu wpłynął fakt, że prowadząca ją Barbara Gruszka-Zych przyjaźni się z nim i jego żoną od ponad dwudziestu lat, co, naturalnie, narzuca inną perspektywę. Autorka jest dziennikarką, ale też poetką, czemu daje wyraz w tej rozmowie-rzece. Kilka lat temu opisała przyjaciela Zanussiego – wybitnego kompozytora Wojciecha Kilara w cieszącej się zainteresowaniem książce „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”. Tytuł „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” tym bardziej zasługuje na uwagę, że w tym roku reżyser świętuje swoje 80 urodziny.

Książka jest dostępna w księgarniach od 8 maja. Można ją nabyć wchodząc na landingpage: zanussi.dzialaniawizualne.pl



Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Wydawnictwo Działania wizualne

O uczuciach

Elżbieta Grocholska-Zanussi: Prawdę powiedziawszy można by się w życiu zakochać ze sto pięćdziesiąt razy i próbować, czy z danym partnerem lepiej się przeżyje kolejnych kilka lat, ale to jest założenie zupełnie idiotyczne, bo wtedy następuje kolosalny rozkład życia.

Krzysztof Zanussi: Pamiętam kluczową dla tego tematu

rozmowę, jaką odbyłem w telewizji rosyjskiej. To były lata dziewięćdziesiąte, miałem wtedy dopiero sześćdziesiąt lat. Prowadząca ją panienka pełna dobrych chęci z naiwnością zapytała mnie: „Dlaczego ma pan tylko jedną żonę? Przecież jest pan znany, jest pan bogaty i zna pan piękne kobiety. Mógłby mieć pan takie urozmaicone życie. Nie ma pan na to czasu czy może to pana nie interesuje?". Mój kłopot polegał na tym, że najpierw musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie: „Co ja teraz chcę przekazać milionom oglądających ten program, którzy tak samo jak ta dziennikarka nic z mojego świata nie rozumieją?". Powiedziałem jej wtedy o grze „Monopoly" i do dziś uważam, że to był wynik interwencji Ducha Świętego. Oni się wtedy w Rosji bardzo pasjonowali tą kapitalistyczną grą. Jej uczestnicy zdobywają punkty, a zwycięża ten, kto zgromadził ich więcej. Stwierdziłem przed kamerami: „Myśmy z żoną zdobyli bardzo dużo punktów. Jakby trzeba było to wszystko skasować do zera i z nową partnerką musiałbym zaczynać od nowa, to byłaby ogromna strata, bo już nigdy tylu punktów nie zdobędę". Po latach wspólnego życia bez obaw mogę postawić tezę, że miłość to ciężka praca, a nie jakiś powiew namiętności. W kwestii namiętności mamy spore doświadczenie, obserwując zachowania naszych psów.

E.G.-Z.: Miłość to stały rozwój, który się osiąga ciężkim wysiłkiem. Gdyby z niego zrezygnować, trzeba by za każdym razem biec za kimś, jak to robią nasze psy, kiedy budzi się ich

instynkt.

K.Z.: To odniesienie wymyśliliśmy wspólnie i ono nie jest bez sensu. Moja żona na co dzień przygląda się psom, a ja nieraz miałem możliwość obserwowania zachowań zakochanych koni. To, co się wtedy z nimi dzieje, zadziwia. Z tym, że ich wzajemne zainteresowanie jest intensywne, ale trwa niezwykle krótko. Jeśli widzę, że zakochani okazują sobie miłość tylko przez „wzdychulce", jak je na nasz użytek z Bietką nazwaliśmy, to, na miłość Boską, mnie to nie wzrusza. Wyjątkowo nie znoszę tych pełnych emocji porywów, przewracania śliskimi oczami, dawania do zrozumienia, że coś się w człowieku zagotowało. Namiętność nie jest tak zupełnie błaha. Myślę, że fakt, żeśmy się zeszli już jako starsi ludzie, też wpływa na to, jak ją postrzegamy. Wiek troszkę ją sublimuje, ale za to relacje robią się głębsze. Po moich studentach widzę, jak inaczej przeżywa uczucia pokolenie, które nie wyrosło na miłości płomiennej, wywodzącej się z tradycji romantycznej. Młodzi stawiają sobie pragmatyczne pytania: „Dlaczego kogoś kocham i co ten ktoś może mi zaoferować?". (…) Dzisiaj ludzie całkowicie zapominają, że człowiek jest władny powodować sobą. Twierdzenie, że każdy z nas jest skazany na występne postępowanie, jeśli okoliczności go do tego zmuszą, to błąd. Wielu uważa, że kiedy spotyka kogoś atrakcyjnego, to natychmiast musi z nim zdradzić współmałżonka. Podobnie, kiedy spostrzega, że coś smacznego leży na stole, to zaraz po to sięga. Człowiek jest wolny i w każdej chwili podejmuje wybór,

który jest albo dobry, albo zły.

E.G.-Z.: Gdybym w pewnej chwili się zorientowała, że dla mnie ważny jest jakiś inny mężczyzna wtedy natychmiast powiedziałabym Krzysztofowi, żebyśmy wspólnie spędzali więcej czasu, troskliwiej zajmowali się sobą, bo znalazłam się w niebezpieczeństwie. Nie musiałabym od razu z tym drugim iść do łóżka, a jednak czułabym, że trzeba interweniować… Nie znoszę mówienia o seksie, bo to jest tak prymitywne. Miłość to przede wszystkim straszliwy pociąg, którego bardzo ciężko się pozbyć. Trudno zachować takie relacje jak święty Franciszek i święta Klara. Myślę, że oni przeżyli coś niewiarygodnego, ale na poziomie metafizyki, a nie fizyczności. Wzajemne pożądanie przebywania ze sobą sprawiło, że Klara wstąpiła do założonego przez Franciszka zakonu. Pewnie musiała mu tłumaczyć: „Bracia będą się z ciebie śmiać, no to ja zakładam drugi klasztor, a ty będziesz mi pomagał, żeby był równie dobry jak twój”. Mam przekonanie, że straszliwe pożądanie doprowadziło ich do wspólnego odkrycia miłości Boga, która okazała się dużo mocniejsza.



Elżbieta Grocholska-Zanussi, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Miłość młodzieńcza

K.Z.: (...) Niedawno zmarła osoba, z którą w młodości byłem bardzo blisko, w której byłem bardzo zakochany. Dużo by o tym opowiadać, ale od tamtej pory zostało mi przekonanie, że warto swoje emocje hamować na wszystkich szczeblach. Do dzisiaj trwa we mnie takie zapętlenie uczuć w sobie.

E.G.-Z.: W skrócie trzeba by powiedzieć, że miłością Krzysztofa

z młodzieńczych lat…

K.Z.: …nie miłością, ale pasją… Ja całą jej złą stronę widziałem od początku, a mimo to z nią byłem.

E.G.-Z.: Pasją? A co to jest pasja?

K.Z.: Coś jak namiętność…

E.G.-Z.: No więc Krzysztof ogromnie zainteresował się osobą niesamowicie zdolną pisarsko, drukującą w pismach, przebojową…

K.Z.: …postawioną dużo wyżej ode mnie w hierarchii światka artystycznego. Monika była wtedy w centrum salonu literackiego. Dziś oglądalibyśmy ją na pierwszych stronach kolorowych magazynów.

E.G.-Z.: Ja nie miałam z tym światem nic wspólnego.

Ale ta osoba wyszła za innego pana…

K.Z.: …mojego przyjaciela zresztą.

E.G.-Z.: Zajął się nią, korzystając z nieobecności Krzysztofa w Polsce.

K.Z.: Nie, Bietko, przede wszystkim skorzystał z mojego niezdecydowania. Nie wykazywałem żadnej konkretnej inicjatywy.

E.G.-Z.: Krótko po jej ślubie odezwała się straszliwa, niszcząca dalsze życie choroba.

K.Z.: Ta choroba była motorem mojej fascynacji nią. Schizofrenia ma postać tak urzekającą, że można dać się jej uwieść. Czytam o tym, słyszę i widzę to u wielu innych osób. Mają momenty, kiedy posiadają jakąś zupełnie uwodzicielską siłę, prawie magiczną moc zaklinania świata. Z tym, że choroba Moniki wybuchła później, nie wtedy, kiedy się znaliśmy. To moje krycie emocji wzięło się z tamtych czasów a poza tym jestem przekonany, że uczucia trzeba ukrywać, żeby je dobrze pokazać, bo bez tego nie mają formy. Kiedy ją tracą, tracą też wiarygodność. Muszę przyznać, że jestem bardzo wrażliwy na fałszywość uczuć. Źle to znoszę i budzi to we mnie wielki wstręt. Wiem też, jak łatwo nimi manipulować. Często bohaterowie moich filmów manipulują innymi. Ci, żywiący prawdziwe uczucia, są wodzeni za nos przez tych, którzy je udają, zwodząc ich. Tego się zawsze w życiu bałem. Może moje wyczulenie wzięło się właśnie z tamtych czasów? Zresztą to dotyczy spraw nie tylko osobistych, ale również uwiedzenia przez idee. Uwiedzeni nimi przeżywają złą miłość podobnie jak to się dzieje w stosunkach osobistych.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi po pokazie filmu „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona droga plciowa”, fot. arch. K. i E. Zanussich.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi na plaży w Australii, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Życie codzienne

E.G.-Z.: Wspólnego czasu z Krzysztofem nigdy nie mieliśmy za dużo… Po ślubie bardzo się starałam, żeby nie zabierać go na wyłączność mamie Krzysztofa, z którą dotąd mieszkał, i przy tej okazji muszę się pochwalić jedną moją zaletą. Kiedy wracał z podróży, to mama siadała przy nim w fotelu i towarzyszyła mu bez względu na to, czym się zajmował. Wtedy kompletnie się wycofywałam, rozumiejąc, że to są ich ostatnie lata i trzeba dać im ten czas.

K.Z.: Mama dożyła prawie setki, a my nasze małżeństwo zawarliśmy po czterdziestce.

E.G.-Z.: Wycofywałam się w sytuacjach, kiedy każda młoda żona trzasnęłaby drzwiami. Znam parę przykładów, pokazujących, jak zaborczość matek szkodzi związkom ich dzieci. Przychodzi mi do głowy sytuacja mojej siostrzenicy z Włoch, której teściowa pierwsza podchodziła do drzwi i przed nią witała wracającego syna. Kiedy młoda żona chciała zawisnąć mu na szyi, to się stawało po prostu niemożliwe. Usuwanie się na drugi plan w podobnej sytuacji było dla mnie pewnym poświęceniem, które uważałam za słuszne.

K.Z.: A jednak czasem wasze relacje nie były łatwe. Nie kształtowały się wyłącznie naturalnie, ale za sprawą świadomej woli. Byłem już starym chłopem i dotąd mama miała mnie na sto procent. Kiedy w życie syna po czterdziestce wkracza inna kobieta, katastrofa jest gwarantowana. Mało tego, chwilę po naszym ślubie mama zamieszkała u nas. Dotąd była królową w swoim domu, a nagle znalazła się u kogoś.

E.G.-Z.: Szalenie sobie ceniłam to, że mama nie chciała mi w niczym zrobić krzywdy, nie utrudniała mi życia. Myślę, że od początku zdawała sobie sprawę, że i tak będzie niełatwe. Bardzo kochała Krzysztofa, a przez niego i mnie. Wydaje mi się, że Krzysztof jest do niej podobny. Zachowywała nieustanną

młodość, co wyszło na jaw na spotkaniu z hiphopowcami, którzy występowali przed Janem Pawłem II, a potem przyszli zatańczyć dla niej. Nie mogła się z nimi nagadać, jakby była ich równolatką. Krzysztof też stale ma wykłady dla młodych. Jednak cechowała ją też nieufność do świata, którą on od niej przejął. Za to umiała sobie radzić z wieloma problemami i nie obarczała nimi innych. Gdy przeżywała trudności w życiu małżeńskim, to bardzo pięknie potrafiła się w tym wszystkim znaleźć. Nigdy też nie narzekała na swoje zdrowie.

K.Z.: Mama trzymała klasę. Spokojnie przyjęła do wiadomości, że nie wolno jej się szarogęsić w naszym domu. Umiała przygotować kilka dobrych dań, ale generalnie nie była artystką kuchni. Właściwie jedyną potrawą, którą przyrządzała lepiej od ciebie, była jajecznica. W zasadzie we wszystkim jesteś dużo lepsza i mama umiała to przyznać.

E.G.-Z.: Co ty mówisz! Przecież mama piekła też genialny sernik! Była bardzo sprawna manualnie i technicznie, i starała się sama wykonywać różne prace. Ale widziałam też, jaki czuje zachwyt, gdy przebiłam ją w praktycznych i technicznych umiejętnościach. Na przykład robiłam obiad w piętnaście minut…

K.Z.: A mama w dwadzieścia …

E.G.-Z.: A przyjęcie dla pięćdziesięciu osób przygotowywałam w ciągu dwóch i pół godziny. I do dziś nie jest to dla mnie większy problem. Naprawianie kontaktu zajmowało mi tylko chwilę. Kiedy widziałam zepsuty kran, z którego leje się woda, to za moment już się nie lała. Kiedy zauważyłam, że kółko od jej fotela się odczepiło, już po chwili musiało być na swoim miejscu. Mama te moje działania doceniała i szczerze mi to okazywała. To było nadzwyczajne!

(...) Kiedy ktoś się do nas tak dobrze odnosi, to chce się żyć. I chce się robić jeszcze więcej pożytecznych rzeczy.



Krzysztof i Elżbieta Zanussi oglądają zdjęcia, fot. Wydawnictwo Działania wizualne.

O przemijaniu

K.Z.: (…) Sam nieustannie stawiam sobie rozdzierające pytania, które dręczą mnie od dzieciństwa: „Jak się pogodzić ze śmiercią? Jak się z nią spotkać, żeby to nie była tragedia, katastrofa, kropka? Ile trzeba mieć nadziei i jak ją należy chronić, żeby bez uszczerbku donieść ją do końca?”.

Kiedyś w kenijskiej wiosce byłem świadkiem śmierci młodego Masaja. Miałem wrażenie, że zachowujący wtedy ogromny spokój członkowie jego plemienia wiedzą o odchodzeniu coś, czego nie nauczono mnie na żadnym uniwersytecie. Może

posiedli tajemnicę, którą znał też święty Bernard z Clairvaux w moim filmie „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”, kiedy spokojnie przygotował skazańca na śmierć jak na jakieś wyjątkowe, ale przecież tylko przejście.

E.G.-Z.: Krzysztof odczuwa lęk przed śmiercią, bo pozostaje bardziej po tej stronie. Jego wiara jest strofowana przez rozum, który prowadzi na manowce. Rozum z wielką niechęcią przyjmuje to, co go obraża, a więc cierpienie, choroby psychiczne, śmierć. Dlatego przed faktem śmierci czasem dębieje ze strachu. Kiedy na końcu jego filmu „Życie jako śmiertelna choroba” Zapasiewicz mówi do studenta medycyny: „Tnij, to tylko ciało”, jest świadomy istnienia innej perspektywy. Gniecie nas ciało, rozum i psychika, ciągnąca do marności. Poprzez nie odczuwamy cierpienie, zazdrość, nienawiść – to gniazdo os, które chce nas zniszczyć. Piękno i dobro przychodzą z góry. Miejmy nadzieję, że dzień śmierci to będzie nasz najpiękniejszy dzień. (…) Im człowiek starszy, tym bardziej tęskni za zrzuceniem ciała. Czuje, jak jego siły zostają podcięte. Tam klucze zapomniane, tu samochód stuknięty…

K.Z.: Tyle mówimy o umieraniu, a czemu nie przypomnieć teraz słów Goethego: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”. Nie zwalniam tempa – w ciąż pracuję na dwóch etatach. Nadal, realizując filmy, odczuwam radość, że wymyślony przeze mnie obraz ożył. A jeszcze większą wtedy, gdy widzę, że ktoś w niego uwierzył.

Muszę przyznać, że w jakimś sensie nie doświadczam jeszcze żadnych ograniczeń wieku. Wciąż podróżuję, latam czasem dwa razy w miesiącu do Stanów i jestem w stanie to wszystko przetrzymać. Im mniej chwil pozostało, tym bardziej się nimi cieszę. Tyle miłości mnie w życiu spotkało, tyle piękna zaznałem. Chciałbym to przeżywać jak najdłużej i nie oczekuję niczego więcej. (…) To, co jest – jest wspaniałe. Choćby ten uroczy moment w naszym ogrodzie. Mówię: „Niech ta chwila trwa”, choć mam 80 lat.

Barbara Gruszka-Zych, Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem, wyd. Działania wizualne, 2019.


Barbara Gruszka-Zych
Życie rodzinne
Zanussich
ROZMOWY Z ELŻBIETĄ I KRZYSZTOFEM

Polska mgła

w Londynie

Leszek Żuliński

Z pewnym opóźnieniem trafił ten tomik do moich rąk, ale warto o nim cokolwiek napisać i przede wszystkim nagłośnić mało znaną w Polsce autorkę, która od lat mieszka w Londynie. Tutaj zresztą, w Polsce, wydała kilka swoich tomików. W Londynie jest aktywna – współredaguje tam pismo „Pamiętnik Literacki”; należy do miejscowego Pen Clubu. Debiutowała tomikiem pt. *Dziewanna* (1985), ma także sporo innych publikacji, także tomiki wydane w języku angielskim. Jednym słowem, Mickiewicz żyje literaturą. M.in. jest laureatką medalu Gloria Artis.

Zawsze mnie intrygowało, jak po wielu latach emigracji można pisać wiersze do głębi nasiąknięte polską dykcją. U Pani Anny Marii Mickiewicz jest to całkowicie naturalne.

U niej między kanałem La Manche a Wisłą odległość wciąż jest malutka. Oto wiersz pt. *Wieczorami śnię*:

Widzę tańczące dziewczęta

Rozległe bagniska

Wśród łąk

Ktoś śpiewa na Białorusi…

Zamarznięty obraz dzieciństwa

Zatrzymany

Jak w szklanej kuli

Jeżeli wrócę w rodzinne strony

Boję się, że sen ucieknie.

Sentymenty przeszłości są jednym z budulców tych wierszy. Ale

nie tylko one. Autorka często nawiązuje do swoich egzystencjalnych spleenów, jak w tym wierszu pt. *Buty*:

> Spotykam ludzi
>
> Obserwuje ich buty
>
> Zdarzają się ciche
>
> I te schodzone
>
> Nie świadczą o zamożności
>
> Niby wygodne
>
> A ograniczają

> Wybieramy te, które przeszły wiele mil
>
> Wybieramy nasza własną cichą drogę
>
>
>
> Odchodzenia
>
> Przechodzenia przez życie
>
> Wędrówki w kierunku zachodu słońca
>
> Ale nigdy poranka…



Znalazłem tu nawet „ważny wiersz” pt. *Trzynastego Grudnia*:

> Wyniośle zacisnąć wargi
>
> Na jak długo?
>
> Parują stawy w lesie

W stronę dalekiego domu

Dym zaciera pole widzenia

Porządek świata

Wzywa pomocy

Rozpadły się słowa „Wywrotowca”

Wywietrzały

jak stara szafa

Niczego nie przypominają żółte kartki

Pod palcami

> Lód znaczeń
>
> Runie cesarstwo
>
> Ot tak
>
> nie będzie nawet kartek.

A więc Poetka zatrzasnęła się nie tylko w czystym liryzmie.

Zawsze wydawało mi się, że pisanie wierszy na obczyźnie siłą rzeczy bywa najczęściej z lekka anachroniczne. Po raz kolejny widzę, jak pamięć i język nie murszeją, nie umierają. Bo język jest wciąż ten sam: to kod naszego istnienia! Jego trwałość jest niezniszczalna.

No i na koniec zacytuję wam wiersz zgoła uniwersalny, który zresztą posłużył na tytuł tego tomiku. Jego tytuł: *Lato w Seaford*:

Słońce zrzuca złote krople

Morze pozera je natychmiast

Niebo lśni

Dzień jest nierealny,

Wyrwany z innej opowieści.

Dojeżdżamy.

Kończą się tory.

Przekonujemy się o złudności nieskończonej przestrzeni…

Przechodzimy przez angielskie miasteczko.

Mała stacja,

Tynk odpada nierównomiernie z drewnianych podpór

przed nami ocean mieni się groźnie.

W oddali żółty klif

Wbija się ostro w morze

Nie ma frytek, lodów waty na patykach,

Ciała meduz błyszczą na kamieniach.

Dzień mija ospale,

Szara sylwetka statku.

Na plaży ludzie rozkładają:

Płócienne leżaki, Pomarszczoną skórę.

Jak widzicie: czy w Londynie, czy na Ziemi Ognistej nie tracimy

kodu języka, z którego się wywodzimy. Anna Maria Mickiewicz zasługuje na mocniejsze usadowienie się w naszych lekturach.

Jednego tylko tu nie zrozumiałem… Otóż wiersze w tym tomiku mają także swoją wersję bułgarskojęzyczną (w tłumaczeniu Łyczezara Seliaszki). Nigdzie nie znalazłem notki o tym dlaczego ta wersja. Ale i dobrze: może enklawa bułgarska zapozna się z odrobiną polskiej poezji?

Anna Maria Mickiewicz, *Lato w Seaford*, Wydawca: Alicja Kuberska, Inowrocław 2017, s. 60.

Ekskursje pedagogiczne



Florian Smieja

Przeszedłszy na emeryturę w Kanadzie, zacząłem jeździć do Polski, by pomóc kształcić iberystów. Ekskursji tych było ponad szesnaście. Pierwsze wyprawy były do Wrocławia, potem do Opola i Częstochowy. Po spotkaniu Różewicza we Wrocławiu, widziałem go ponownie, kiedy odbierał kolejny doktorat honorowy w Opolu. Tamże witałem prezydenta emigracyjnego Ryszarda Kaczorowskiego i generałowa Andersową.

Do osobliwych wizyt zaliczę pojawienie się w Opolu delegacji władz Galisji, cieszącej się w Hiszpanii autonomicznymi prawami i uprzywilejowanym językiem, z jej prezydentem Fraga Irribarne na czele. Pewnie sądzili, że przylecieli do pokrewnych *mutatis*

mutandis Ślązaków mówiących respektowaną gwarą. Jako tłumacz miałem dużo satysfakcji porozmawiać z Irribarne nie zdradzając, że byłem jedynym Ślązakiem na placu i do tego przejezdnym. Otrzymane później książki o pochodzącej z Galisji poetce Sofii Casanova Lutosławskiej podarowałem hispanistom wrocławskim.

Zapamiętałem huczne przyjęcie na zamku w Brzegu koło Opola wydane na cześć Kazimierza Kutza. Wyraziłem wtedy żal, że film "Śmierć jak kromka chleba" nosi nieśląski tytuł. Ślązacy "kromką" nazywają"piętkę", a przecież nie o to chodziło. Kutz wspominał, że przez wiele lat nosił się z zamiarem zrobienia filmu o emigracji całej śląskiej wsi pod przywództwem księdza do USA, gdzie założyli miejscowość Panna Maria w Teksasie. Plan nie doczekał się realizacji, bo fabuła zbyt wyraźnie symbolizowała tęsknotę całej Polski pod wodzą kardynała Wyszyńskiego. A chodziło po prostu o franciszkańskiego misjonarza, ks. Leopolda Moczygembę i mieszkańców śląskiej Płużnicy, którzy w 1854 roku popłynęli do Stanów Zjednoczonych z ziarnem siewnym, pługiem, krzyżem i dzwonem kościelnym.



Polska parafia w miejscowości Panna Maria w Teksasie.

***

W czasie moich pobytów pedagogicznych we Wroclawiu, w latach dziewięćdziesiątych poznalem Noela Clarka (1925-2004). byłego korespondenta i pracownika radia BBC i tłumacza. Studiował w Oksfordzie germanistykę i romanistykę, opublikował m.in. przekłady dramatów Corneille'a i Kleista. Z czasem zaczął tłumaczyć poezję i teatr polski.

Dzięki zainteresowaniu Barbary Folty z telewizji wrocławskiej wystąpiłem z Noelem kilka razy przed kamerą, a w 1994 roku, w dwusetną rocznicę bitwy pod Racławicami, wydaliśmy razem

dwujęzyczny tekst Teofila Lenartowicza “Bitwy Racławickiej”.

Noel Clark przełożył ulubiony tekst angielskim wierszem, ale nie było jego polskiego wydania krytycznego, a polonista z Uniwersytetu Wrocławskiego proszony o pomoc, był przeciwny jego stworzeniu. Odmówił wszelkiej współpracy. Jako profesor gościnny nie lękający się akademickiego odium, postanowiłem sam tekst pilnie przygotować. Książka ukazała się na czas i stała się dostępna turystom pojawiającym się w Panoramie.

Mój bezsilny Zoil strofował mnie nazywając mój tekst kuriozalnym. Noel natomiast został zauważony, a po wydaniu przekładu trzech komedii Fredry, a także, ponoć świetnego, tłumaczenia “Wesela” Wyspiańskiego, uhonorowany przez władze polskie medalem za krzewienie kultury polskiej.

Tylko w Panoramie wycofano z niewiadomych powodów dwujęzyczną “Bitwę Racławicką”.

Sensybilizm. Sens i non-sens.



Kazimierz Głaz, Geometric Universe. 1999 r.

Kazimierz Głaz *(Toronto)*

Piotrek Oprządek mial 9 lat i jako syn artystów posługujących się językiem geometrii, bywał na zjazdach kwadracistów w Radziejowicach, w historycznym zamczysku. W zjazdach tych również brałem udział jako sensybilista. Któregoś dnia po kolacji, wychodząc z restauracji, zapytał mnie nieśmiało:

– Proszę pana, co to jest ten „sensybilizm”?

To spowodowało, później w kawiarnii, ożywioną dyskusję w licznym gronie profesorskim, aż do północy.

Co to jest? Kierunki w sztukach, czyli tak zwane „trendy”, przychodziły do nas zawsze z innych krajów. Sensybilizm, ze względu na nazwę, też wydawał się powstać za granicą, mimo, że tak naprawdę pochodził z górniczego Wałbrzycha, gdzie przez parę lat mieszkałem.

Próbowałem wyjaśnić, jako twórca tego kierunku, wartość i znaczenie tego słowa – czyli pierwszego polskiego kierunku artystycznego, który bez zakazów i nakazów co malować i jak malować, odwolywał się jedynie do inteligencji tworców. Upowszechnił się najpierw we Wrocławiu, potem powoli w w całęj Polsce, a później za granicą.Bozena, historyk sztuki stwierdziła, że to trudne, bo nie daje się dobrze zreprodukować. Inni uczeni w sztukach wszelkich i uznanych orzekli, że to ich zdaniem jest raczej nonses, Byli wyznawcami sztuki geometrycznej nadzorowanej przez panią dr Bożenę Kowalską.

– A czy sztuka musi się opierać tylko na sensie kwadratów? – pytalem bezradny, osamotniony, bo Piotrek zmęczony

profesorskim językiem poszedł spać.

Dzisiaj Piotrek jako debiutujący pisarz i scenarzysta filmowy, po dyplomie w szkole filmowej w Łodzi, dopowiada sens sensybilistyczny w swoich literackich utworach. Zadebiutował w październikowym numerze „Twórczosci” w 2018 roku i wywoluje dalszą dyskusję o języku sensybilistycznym. Nowa proza.

Toronto, kwiecień, 2019 r.



Kazimierz Głaz:
https://www.cultureave.com/aniol-stroz-opowiadanie-sensybilistyczne/

Piotr Oprządek, „Twórczość”, 10/2018.
http://tworczosc.com.pl/artykul/prawda/

Przygody z tłumaczeniami



fot. tumbir

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Życie zazwyczaj daje nam więcej pomysłów i bodźców aniżeli

czasu i możliwości do ich realizacji. Dobre intencje i idee potem bledną w porównaniu z nowymi, wydają się mniej atrakcyjne, wtórne czy nadto kłopotliwe, mało potrzebne.

Odwiedziwszy w latach sześćdziesiątych **Tymoteusza Karpowicza** jeszcze bodaj na wrocławskich Krzykach, mialem okazję spotkać się z **Ludwikiem Flaszenem** i **Jerzym Grotowskim** na malowniczym rynku. Domyślam się, że rozmawialiśmy o hiszpańskim teatrze i Calderonie. Musiałem rozmówców przekonać, że jestem czynnym hispanistą, zdolnym przełożyć dla nich hiszpański dramat barokowy, a dokładnej: moralitet "Wielki teatr świata".

Upłynęły lata, a mojego przekładu nie było. Powstawały inne tłumaczenia, obiecane, nie ruszało z miejsca. Nie pamiętam już szczegółów. Pamięć milczy. Mogło mi się marzyć o dostarczeniu takiego tekstu, śnić o takiej propozycji. Bez jasnego imperatywu łatwiej mi było nie wywiązać się z obietnicy.

I to, co uszło z pamięci mogło było nie istnieć w rzeczywistości. Ale zachował się list, który świadczy przeciwko mnie. W liście tym w grudniu 1965 roku Jerzy Grotowski pisał

> Powtarzam jednak „Wielki teatr świata" interesuje nas w stopniu szczególnym.

***

Pisarz portugalski **Ferreira de Castro** (1898-1974) napisał długą nowelę “A missão” (Misja), którą przełożyłem na język polski i wydrukowałem w PIW-ie w serii Jednorożca w 1972 roku. Ale znalazła się przedsiębiorcza osoba, pani Teresa Sobańska-Dąbrowska i zrobiła z tekstu scenariusz teatralny. Sztuka w reżyserii Magdy Teresy Wójcik grana była m.in przez Henryka Boukołowskiego w Klubie im. Wł. Pietrzaka.

Dowiedziałem się o tym, przypadkowo, odwiedzając Warszawę w 1974 roku. Poszedłem do Paxu. Wywołałem konsternację, bo, rzecz jasna, ani na afiszu, ani na zaproszeniach nie figurowało nazwisko tłumacza. Przepraszano mnie, wręczono bilet na przedstawienie, kwiaty i tysiąc zlotych. Mógłbym wraz z Paskiem powiedzieć coś o roli powszechnego pośrednika w kłopotliwych sytuacjach.

Bolesław Kobrzyński – autor wierszy wojennych



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Maria Danilewicz Zielińska głosując za kandydaturą Bolesława

Kobrzyńskiego do nagrody Kościelskich, nazwała go

> autentystą, autorem wierszy wojennych… korzystnie odcinających się od tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.

Urodzony w 1914 roku, a zmarły w Anglii w 1988 roku poeta walczył we wrześniu 1939 r., a potem pod Tobrukiem, Monte Cassino i Anconą przypłacając wojaczkę dożywotnim pobytem w szpitalach angielskich. Jeszcze jako podchorąży dywizjonu przeciw pancernego pisał:

> Jak rzewnych fletów pieśń spokojna
>
> Jak ponad miastem syren śpiew
>
> Gdy wojna
>
> Z naszych żył – wierszy płynie krew.

Odwiedziłem go w jednym z angielskich szpitali w Mabledon

niedaleko Londynu zaproszony na literacki wieczór przez poetę Bronisława Przyłuskiego. W dyskusji wziął udział Kobrzyński okazując się wytrawnym znawcą poezji. Potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero zdradził swoje fobie i jasny stał się jego stan psychiczny. Wymienialiśmy przez szereg lat listy. Często przysyłał mi pięknie kaligrafowane wiersze i uwagi. Donosił, że wiele jego czystopisów złożono w Bibliotece Polskiej w Londynie. Czy tam się zachowają?



_____

Bolesław Kobrzyński (ur. 27 grudnia 1914 roku w Osterfeld w Westfalii, zm. 29 grudnia 1986 roku w Horton w Wielkiej Brytanii) – polski poeta.

Pochodził z rodziny górniczej. Szkołę podstawową ukończył w wielkopolskim Trzemesznie. Studiował w seminarium nauczycielskim w Wągrowcu. W latach 1935-1936 szkolił się w podchorążówce w Brodnicy. Przed wojną pracował jako nauczyciel. W 1939 roku został zmobilizowany i przydzielony do garnizonu rzeszowskiego. Po klęsce wrześniowej został internowany na Węgrzech. W 1940 roku przedostał się do Jugosławii, a stamtąd przez Liban do Syrii. Służył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Brał udział w walkach o Tobruk, Anconę i na Monte Cassino. Otrzymał awans na stopień oficerski (porucznika). Pod Monte Cassino został ranny. Resztę życia spędził w szpitalu.

Laureat nagrody literackiej Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w Londynie (1950) i Nagrody Kościelskich (1976).

Pisał wiersze (między innymi *Kantyk do butelek z wodą*) i epigramaty. Jest autorem słów na pomniku pod Monte Cassino. Za jego sztandarowy utwór uważany jest *Wiersz o Tobruku*:

> Paść i nie ulec, bronić się i natrzeć,
> Karabin podnieść i nabić go znowu
> I szukać wrogów wolą i rozpaczą
> W górze, na morzu, po fiordach i rowach.

Na podstawie Wikipedii